



NOS 4 A2

JOE
HILL

O książce

Na swoje ósme urodziny Victoria McQueen dostaje od rodziców rower pozwalający jej dotrzeć w miejsca, w których znajduje zagubione przedmioty. Wystarczy, że wjedzie na zniszczony stary most, i trafia tam, gdzie pragnie się znaleźć. Jak się okazuje, nie jest jedyną osobą przemierzającą ten most. Bibliotekarka Maggie, poznana podczas jednej z takich wypraw, opowiada jej o porywającym dzieci Upiorze, który zabiera je na przejażdżkę rolls-royce'em z 1938 r., po czym wysysa z nich dusze i pozbawia ludzkich uczuć.

Po raz ostatni Victoria przemierza stary most jako siedemnastolatka. Po kłótni z matką wyrusza na poszukiwanie kłopotów. I, oczywiście, je znajduje, trafia bowiem do domu Upiora. Kiedy chce pomóc chłopcu zamkniętemu w starym rolls-roysie z rejestracją NOS4A2 – Nosferatu – okazuje się, że jest on wampirem. Zanim udaje jej się uciec, staje twarzą w twarz z Charliem Manxem – Upiorem we własnej osobie.

W dorosłym życiu próbuje zatrzeć w pamięci tamte wydarzenia, ale Charlie Manx już się o to postara, żeby o nich nie zapomniała.

JOE HILL



Z angielskiego przełożyła
MARIA FRĄC



Wydanie elektroniczne

JOE HILL

Amerykański pisarz urodzony w 1972 r., debiutował w 1997 r. opowiadaniem *The Lady Rests*. Jego pierwsza książka, zbiór opowiadań **Upiory XX wieku**, która ukazała się w 2006 r., została entuzjastycznie przyjęta zarówno przez czytelników, jak i krytykę i zdobyła prestiżowe Bram Stoker Award oraz British Fantasy Award. Bram Stoker Award przyznano również Hillowi za jego pierwszą powieść, **Pudełko w kształcie serca**. Prawa do jej ekranizacji zakupił Warner Bros, zanim została wydana w 2007 r. Kolejna powieść Hilla, **Rogi** (2008 r.), liczne opowiadania oraz wydane w USA 2013 r. **NOS4A2** ugruntowały jego niekwestionowany status mistrza horroru i mrocznego fantasy nowego pokolenia.

www.joehillfiction.com

Tego autora

UPIORY XX WIEKU
W WYSOKIEJ TRAWIE
NOS4A2

Tytuł oryginału:
NOS4A2

Copyright © Joe Hill 2013
All rights reserved

Published by arrangement with HarperCollins Publishers
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c. 2014

Polish translation copyright © Maria Frąc 2014

Redakcja: Beata Kołodziejska

Zdjęcie na okładce: cclickclick/Getty Images

Ilustracje: © Gabriel Rodriguez

Projekt graficzny okładki:

Andrzej Kuryłowicz

ISBN 978-83-7985-055-6

Wydawca
WYDAWNICTWO ALBATROS A. KURYŁOWICZ
Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa
www.wydawnictwoalbatros.com



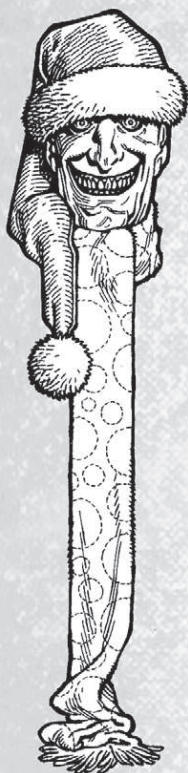
*Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego.
Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę,
która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje,
że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom
lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie,
kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych
lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.*

Konwersja do formatu ...

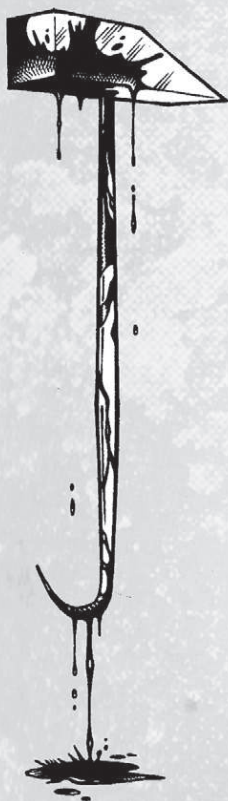
...

...

*Dla mojej mamy — oto nędzna maszyna
dla królowej opowieści*



grzeczni



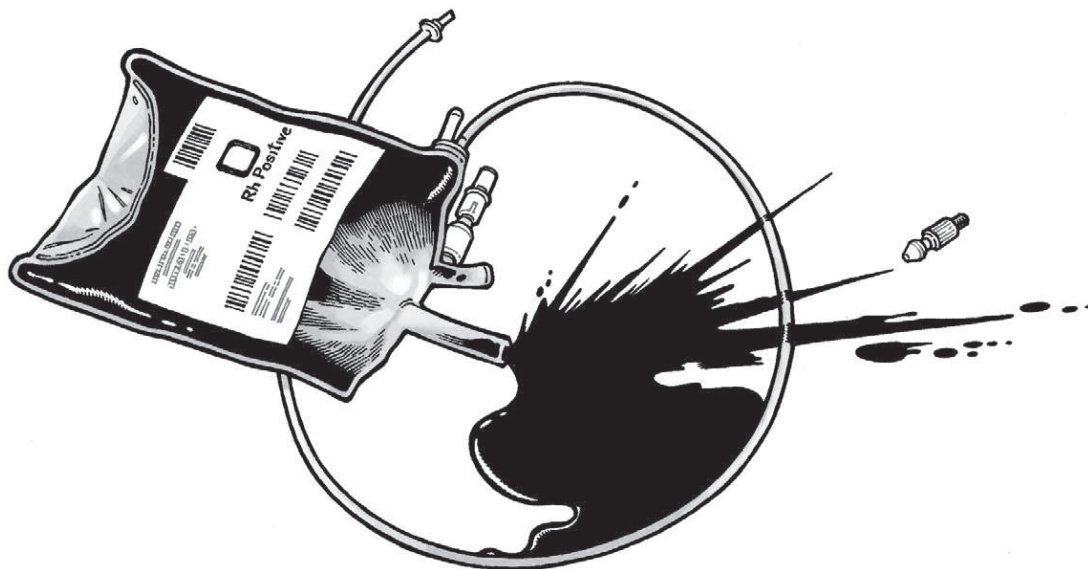
niegrzeczni

Die Todten reiten schnell.

Zmarli bowiem podróżują szybko.

LENORA, GOTTFRIED BÜRGER

PROLOG
WESOŁYCH ŚWIĄT
GRUDZIEŃ 2008



Zakład karny Englewood, Kolorado

Parę minut przed ósmą pielęgniarka Thornton weszła na oddział dla osób w stanie wegetatywnym, niosąc worek ciepłej krwi dla Charliego Manxa.

Funkcjonowała tak, jakby sterował nią autopilot, i wcale nie myślała o pracy. Wreszcie zdecydowała, że kupi swojemu synowi Josiahowi upragnione Nintendo DS, i obliczała, czy po dyżurze zdąży do sklepu z zabawkami Toys „R” Us przed zamknięciem.

Przez kilka tygodni sprzeciwiała się temu pomysłowi z powodów natury filozoficznej. Naprawdę jej nie obchodziło, że wszyscy koledzy syna mają konsole gier wideo. Nie podobało jej się, że dzieciaki wszędzie je ze sobą noszą. Nie podobało jej się, że mali chłopcy zatapiają się w rozjarzonych ekranach, porzucając rzeczywisty świat dla jakiegoś wyimaginowanego królestwa, gdzie zabawa zastępuje myślenie, a wymyślanie nowych kreatywnych sposobów zabijania urasta do rangi sztuki. Marzyła o tym, żeby jej dziecko uwielbiało książki i grało w scrabble, a także chodziło z nią na wyprawy w rakietach śnieżnych. Śmiechu warte.

Ellen i tak długo zwlekała, ale wczoraj po południu przyłapała Josiaha, jak siedział na swoim łóżku i udawał, że stary portfel jest konsolą Nintendo DS. Wyciął obrazek przedstawiający Donkey Konga i wsunął go do przejrzystej plastikowej przegródki

na zdjęcia. Wcisnął wyimaginowane klawisze i wydawał odgłosy imitujące eksplozje. Zabolało ją serce, gdy patrzyła, jak jej syn wyobraża sobie, że bawi się czymś, co wierzył, że dostanie w ten Wielki Dzień. Ellen mogła mieć swoje teorie na temat tego, co jest, a co nie jest zdrowe dla chłopców, lecz Święty Mikołaj wcale nie musiał ich podzielać.

Zaabsorbowana tymi myślami, nie zauważyła zmian, jakie zaszły u Charliego Manxa, dopóki nie obeszła jego łóżka, żeby podłączyć kroplówkę. Akurat wtedy Manx westchnął ciężko, jakby się zbudził, a ona spojrzała na niego i zobaczyła, że na nią patrzy. Tak bardzo ją zaskoczył widok jego otwartych oczu, że podrzuciła worek z krwią i o mało go nie upuściła.

Był okropnie stary, a poza tym wyglądał odrażająco. Jego wielka łyśa czaszka przypominała globus odwzorowujący jakiś obcy księżyc, na którym plamy wątrobowe i sine mięsaki tworzyły kontynenty. Spośród wszystkich mężczyzn na tym oddziale — znanym również jako Warzywnik — Charlie Manx z otwartymi oczami miał w sobie o tej porze roku coś wyjątkowo strasznego. Manx lubił dzieci. Sprawiał, że w latach dziewięćdziesiątych znikwały dziesiątkami. Miał dom poniżej Flatirons, gdzie robił z nimi, co chciał, zabijał je i ku ich pamięci wieszał ozdoby choinkowe. Gazety nazwały ten dom Saniami Mikołaja.

W pracy Ellen na ogół potrafiła wyłączyć matczyną część swojego umysłu i nie myśleć o tym, co Charlie Manx prawdopodobnie robił z małymi dziewczynkami i chłopcami, których napotkał na swojej drodze, z dziećmi w wieku jej Josiaha. Nie zastanawiała się nad tym, co zrobili jej podopieczni, jeśli tylko mogła tego uniknąć. Pacjent leżący po drugiej stronie pokoju związał swoją dziewczynę i jej dwoje dzieci, po czym podpalił dom i zostawił ich, żeby spłonęli żywcem. Aresztowano go w barze przy tej samej ulicy, gdy pił whisky Bushmills i oglądał spotkanie White Soxów z Rangersami. Ellen doszła do

wniosku, że roztrząsanie tych spraw nie przyniesie jej żadnych korzyści, dlatego nauczyła się myśleć o swoich pacjentach jako o przedłużeniach aparatury i worków, do których byli podłączeni: cielesne urządzenia peryferyjne.

Przez cały okres zatrudnienia w Englewood, na szpitalnym oddziale więzienia o zaostrowym rygorze, nigdy nie widziała Charliego Manxa z otwartymi oczami. Pracowała tutaj od trzech lat, a on w tym czasie znajdował się w stanie śpiączki. Był najsłabszym z jej pacjentów, nic tylko kości obciążnięte cienką skórą. Kardiomonitor błyskał w tempie najwolniej nastawionego metronomu. Lekarz powiedział, że jego mózg jest aktywny mniej więcej jak puszka kukurydzianego purée. Nikt nigdy nie określił wieku Manxa, ale wyglądał starzej niż Keith Richards. Był nawet trochę do niego podobny — do łysiego Keitha Richardsa z ustami pełnymi drobnych brązowych zębów.

Na oddziale przebywało trzech innych pacjentów w śpiączce, zwanych przez personel bejotami, ponieważ Bóg jeden wie, co im dolega. Kiedy człowiek miał z nimi do czynienia przez dłuższy czas, zaczynał zauważać, że każdy bejot ma swoje dziwactwa. Don Henry, który spalił żywcem swoją dziewczynę i jej dzieci, czasami „chodził na spacer”. Rzecz jasna, nie wstawał, ale jego stopy poruszały się lekko pod prześcieradłami. Niejaki Leonard Potts od pięciu lat był pogrążony w śpiączce, z której się nigdy nie zbudzi — inny więzień przebił mu czaszkę śrubokrętem i poważnie uszkodził mózg — ale czasami chrząkał i krzyczał: „Wiem!”, jakby był małym dzieckiem, które chce odpowiedzieć na pytanie nauczyciela. Ellen pomyślała, że może otwieranie oczu jest dziwactwem Manxa, a ona po prostu nigdy wcześniej nie widziała, żeby to robił.

— Dzień dobry, panie Manx — powiedziała odruchowo. — Jak się pan dzisiaj czuje?

Posłała mu nic nieznaczący uśmiech i zawahała się, wciąż

trzymając worek z krwią o temperaturze ciała. Nie spodziewała się odpowiedzi, ale pomyślała, że postąpi taktownie, dając mu chwilę na zebranie nieistniejących myśli. Kiedy nic nie odrzekł, wyciągnęła rękę, żeby zamknąć mu oczy.

Chwycił ją za nadgarstek. Krzyknęła — nie mogła się powstrzymać — i upuściła worek z krwią. Uderzył w podłogę i eksplodował w szkarłatnych bryzgach, ciepłe krople zmoczyły jej stopy.

— Och! — krzyczała. — Och! Och! O Boże!

Krew pachniała jak świeżo wylane żelazo.

— Twój chłopak, Josiah... — powiedział do niej Charlie Manx zgrzytliwym, szorstkim głosem. — Jest dla niego miejsce w Gwiazdkowej Krainie, wśród innych dzieci. Mogę dać mu nowe życie. Mogę dać mu ładny nowy uśmiech. Mogę dać mu ładne nowe zęby.

Gdy usłyszała imię syna z jego ust, było to gorsze niż ręka na jej nadgarstku czy krew na stopach. (Czysta krew, powtarzała sobie w duchu, czysta). Słuchanie, jak ten człowiek, ten skazany za morderstwo pedofil wypowiada imię jej syna, przyprawiło ją o zawroty głowy, prawdziwe zawroty głowy, jakby stała w szklanej windzie pędzącej w niebo, a świat uciekał jej spod nóg.

— Puść — szepnęła.

— Jest miejsce dla Josiaha Johna Thorntona w Gwiazdkowej Krainie i jest miejsce dla ciebie w Domu Snu — powiedział Charlie Manx. — Człowiek w Masce Przeciwigazowej będzie wiedział, co z tobą zrobić. Poczęstuje cię dymem piernikowym i nauczy, jak masz go kochać. Nie możesz zabrać się z nami do Gwiazdkowej Krainy. W zasadzie mógłbym cię wziąć, ale Człowiek w Masce Przeciwigazowej będzie dla ciebie lepszy. Człowiek w Masce Przeciwigazowej jest ucieleśnieniem miłosierdzia.

— Ratunku! — krzyknęła Ellen, tyle że z jej ust wcale nie

wydobył się krzyk. Był to zaledwie szept. — Pomocy. — Jakby straciła głos.

— Widziałem Josiaha na Cmentarzu Tego, Co Może Się Wydarzyć. Josiah powinien wybrać się na przejażdżkę Upiorem. Byłby szczęśliwy w Gwiazdkowej Krainie. Tam świat go nie zniszczy, ponieważ kraina nie leży w tym świecie. Znajduje się w mojej głowie, a w mojej głowie wszyscy są bezpieczni. Śniłem o niej, wiesz. O Gwiazdkowej Krainie. Śniłem o niej, ale idę i idę, i nie mogę dojść do końca tunelu. Słyszę śpiewające dzieci, lecz nie mogę do nich dotrzeć. Słyszę, jak do mnie wołają, ale tunel nie ma końca. Potrzebuję Upiora. Potrzebuję mojego pojazdu.

Wysunął język, brązowy, lśniący, obleśny, zwilżył nim suche wargi i w końcu ją puścił.

— Pomocy — szepnęła. — Pomocy. Pomocy. Pomocy.

Dopiero po kilkukrotnym powtórzeniu tego słowa mogła wypowiedzieć je na tyle głośno, żeby ktoś ją usłyszał. Wypadła przez drzwi na korytarz, biegnąc w miękkim płaskim obuwiu i wrzeszcząc co sił w płucach. Zostawiała za sobą czerwone ślady stóp.

Dziesięć minut później dwóch strażników więziennych w ryszunku bojowym przypięło Manxa pasami do łóżka, na wypadek gdyby otworzył oczy i próbował wstać. Lekarz, który w końcu przyszedł zbadać pacjenta, kazał go uwolnić.

— Ten facet leży w łóżku od dwa tysiące pierwszego. Trzeba go przekładać cztery razy dziennie, żeby nie dostał odleżyn. Nawet jeśli nie byłby bejotem, jest za słaby, żeby dokąś pójść. Wątpię, czy po siedmiu latach atrofii mięśni mógłby samodzielnie usiąść.

Ellen słuchała, stojąc tuż obok drzwi — gdyby Manx znowu otworzył oczy, zamierzała być pierwszą osobą, która ucieknie z pokoju — ale po słowach lekarza podeszła do niego na sztywnych nogach i podciągnęła rękaw, pokazując ślady w miejscu, gdzie

zaciskała się ręka Manxa.

— Czy to wygląda na siniaki zrobione przez faceta, który jest za słaby, żeby usiąść? Myślałam, że wyrwie mi ramię ze stawu.

Stopy piekły ją niemal równie mocno jak posiniaczona ręka. Ściągnęła przesiąknięte krwią rajstopy, po czym myła nogi parzącą wodą i mydłem bakteriobójczym tak długo, że zaczęły boleć. Teraz miała tenisówki. Tamte buty trafiły do kosza na śmieci. Nawet gdyby dało się je uratować, nie przypuszczała, że mogłaby jeszcze kiedyś je włożyć.

Lekarz, młody Hindus o imieniu Patel, obrzucił ją zmieszanym, przepraszającym spojrzeniem, pochylił się, żeby błysnąć latarką w oczy Manxa. Żrenice się nie rozszerzyły. Patel przesunął latarkę, ale oczy Manxa wpatrywały się w punkt tuż za lewych uchem badającego. Lekarz klasnął w dłonie dwa centymetry od nosa pacjenta. Manx nawet nie mrugnął. Patel delikatnie zamknął mu powieki i przejrzał wydruki z EEG.

— Nie widzę tu niczego, co różniłoby się od ostatnich dziesięciu odczytów EEG. Suma punktów na skali Glasgow wynosi dziewięć, pacjent wykazuje spowolnioną aktywność fal alfa odpowiadającą tej, która jest charakterystyczna dla śpiączki. Sądzę, siostró, że po prostu mówi przez sen. Zdarza się to nawet takim bejotom jak on.

— Miał otwarte oczy — powiedziała. — Patrzył prosto na mnie. Zna moje imię. Zna imię mojego syna.

— Czy kiedyś rozmawiała pani przy nim z innymi pielęgniarkami? Nie wiadomo, co może wychwycić podświadomość kogoś takiego. Mówi pani koleżance: „Słuchaj, mój syn zaczął literować słowo »osa«”. Manx słyszy i bezmyślnie powtarza to przez sen.

Pokiwała głową, ale pomyślała: Wypowiedział drugie imię mojego syna. Była pewna, że nie rozmawiała o tym z nikim w szpitalu. „Jest miejsce dla Josiaha Johna Thorntona w

Gwiazdkowej Krainie — powiedział jej Charlie Manx — i jest miejsce dla ciebie w Domu Snu”.

— Nie podałam mu krwi — oznajmiła. — Od paru tygodni cierpi na niedokrwistość. Dostał infekcji układu moczowego od cewnika. Przyniosę nowy worek.

— Mniejsza z tym. Ja podam krew staremu wampirowi. Proszę posłuchać. Paskudnie się pani wystraszyła. Niech się pani od tego oderwie, wróci do domu. Ile pani zostało? Godzina dyżuru? Proszę wziąć sobie wolne, i jutro też. Ma pani do zrobienia jakieś świąteczne zakupy, które odkładała na ostatnią chwilę? Niech się pani tym zajmie. Niech pani przestanie myśleć o dzisiejszym incydencie i porządnie wypocznie. Mamy Boże Narodzenie, siostró Thornton — powiedział lekarz i mrugnął do niej. — Czy pani nie wie, że to najcudowniejsze dni w roku?

KRÓTSZA DROGA

1986–1989



Haverhill, Massachusetts

Szkrab miała osiem lat, kiedy po raz pierwszy przejechała przez kryty most, który spinał brzegi pomiędzy Zgubionym i Znalezionym.

Tak to się stało: Dopiero co wrócili znad Jeziora i Szkrab była w swojej sypialni, zajęta rozwieszaniem plakatu z Davidem Hasselhoffem — stał z rękami skrzyżowanymi na piersi przed KITT-em, ubrany w czarną skórzaną kurtkę, z szerokim uśmiechem i dołeczkami w policzkach — kiedy z sypialni rodziców napłynął zduszony, zszokowany ni to szloch, ni to krzyk.

Szkrab stała z jedną nogą na wezglowiu łóżka i piersią przyciskała plakat do ściany, przyklejając narożniki brązową taśmą. Zamarła i przekrzywiła głowę, nadsluchując, nie z trwogą, po prostu zaciekawiona, co tym razem zdenerwowało jej matkę. Wyglądało na to, że coś zgubiła.

- ...miałam, wiem, że miałam! — krzyczała.
 - Sądysz, że zdjęłaś ją nad wodą? Zanim weszłaś do jeziora?
 - zapytał Chris McQueen. — Wczoraj po południu?
 - Już ci mówiłam, że nie poszłam pływać.
 - Ale może zdjęłaś, gdy się smarowałaś emulsją do opalania.
- Powtarzali te teksty raz za razem. Szkrab uznała, że na razie może ich zignorować. Mając osiem lat, Szkrab — Victoria dla

nauczycielki drugiej klasy, Vicki dla swojej mamy, ale Szkrab dla ojca i w swoim sercu — dawno temu wyrosła z przejmowania się histerycznymi wybuchami matki. Huragany śmiechu i przesadne okrzyki rozczarowania Lindy McQueen stanowiły ścieżkę dźwiękową jej codziennego życia i tylko od czasu do czasu warte były zainteresowania.

Wygladziła plakat, przykleiła ostatni róg i odsunęła się, żeby podziwiać swoje dzieło. David Hasselhoff, taki super. Patrzyła spod ściągniętych brwi, próbując ocenić, czy plakat nie wisi krzywo, kiedy usłyszała trzaśnięcie drzwi i kolejny udręczony krzyk — znowu matki — a później głos ojca.

— Czy nie wiedziałem, że do tego dojdzie? — zapytał. — Jak na zawołanie.

— Zapytałam, czy sprawdziłeś łazienkę, a ty potwierdziłeś. Powiedziałeś, że zabrałeś wszystko. Sprawdziłeś w łazience czy nie?

— Nie wiem. Nie. Raczej nie. Ale to nie ma znaczenia, Lindo, ponieważ nie zostawiłaś jej w łazience. Wiesz, skąd wiem, że nie zostawiłaś swojej bransoletki w łazience? Bo wczoraj zostawiłaś ją na plaży. Obie z Reginą Roeso wylegiwałyście się na słońcu i wyżłopałyście kubek margarity. Tak się wyluzowałaś, że zapomniałaś o córce i zapadłaś w drzemkę. A kiedy się ocknęłaś, uprzytomniłaś sobie, że jesteś spóźniona o godzinę, żeby odebrać ją z półkolonii...

— Wcale nie byłam spóźniona o godzinę.

— ...i odjechałaś w panice. Zapomniałaś o emulsji do opalania, zapomniałaś o ręczniku, zapomniałaś o swojej bransoletce i teraz...

— Wcale nie byłam pijana, jeśli to właśnie sugerujesz. Nie wożę naszej córki po pijanemu, Chris. To twoja specjalność...

— ...i teraz zaczynasz swoje zwykłe zasrane zagrywki i próbujesz zwalić winę na kogoś innego.

Szkrab prawie nie zdawała sobie sprawy, że się porusza, gdy

wędrowała przez ciemny korytarz ku sypialni rodziców. Przez uchylone drzwi dostrzegła kawałek łóżka i leżącą na nim walizkę. Ubrania były wyciągnięte i porozrzucane po podłodze. Szkrab wiedziała, że jej mama, powodowana silnymi emocjami, zaczęła wyszarpywać rzeczy i rozrzucać je, szukając zgubionej bransoletki: złotego kółka z siedzącym na nim motylem z lśniących błękitnych szafirów i skrzących się brylancików.

Matka krążyła po pokoju, więc co parę sekund pojawiała się w polu widzenia.

— To nie ma nic wspólnego z wczoraj. Mówiłam ci, że nie zgubiłam jej na plaży. Nie zgubiłam. Dziś rano leżała obok umywalki, z moimi kolczykami. Jeśli nie ma jej w recepcji, w takim razie wzięła ją któraś z pokojówek. Tak właśnie robią, w ten sposób uzupełniają sobie dochody. Biorą bez skrupów wszystko, co zostawiają letnicy.

Po chwili milczenia ojciec Szkraba powiedział:

— Jezu... Jaka koszmarnie brzydką osobą jesteś w środku. I pomyśleć, że mam z tobą dzieciaka.

Szkrab się wzdrygnęła. Piekące ciepło wzniosło się do tego miejsca za oczami, ale nie zapłakała. Jej zęby odruchowo ścisnęły wargę, przygryzały ją mocno, powodując ostre ukłucie bólu, który powstrzymał łzy.

Matka zachowała się mniej powściągliwie i wybuchła płaczem. Znowu pojawiła się w polu widzenia, z ręką przyciśniętą do policzka, z drżącymi ramionami.

Szkrab nie chciała, żeby rodzice ją zobaczyli, dlatego odsunęła się od drzwi sypialni. Minęła swój pokój, przemierzyła korytarz i wyszła z domu. Nagle myśl o pozostaniu w domu wydała się nie do zniesienia. Wewnątrz powietrze było zbyt stęchłe. Klimatyzator zepsuł się przed tygodniem. Wszystkie rośliny powiędły i pachniały śmiercią.

Nie wiedziała, dokąd zmierza, dopóki tam nie dotarła, choć

od chwili, gdy usłyszała, jak ojciec zadaje najcięższy cios — „Jaką koszmarnie brzydką osobą jesteś w środku” — cel jej wędrowki był nieunikniony. Przez boczne drzwi weszła do garażu i zabrała swój rowerek.

Rower marki Raleigh Tuff Burner, który dostała w maju na urodziny, był dla niej najwspanialszym prezentem wszech czasów... wtedy i zawsze. Nawet w wieku trzydziestu lat, gdy syn ją zapytał o najfajniejszą rzecz, jaką kiedykolwiek dostała, natychmiast pomyślała o jaskrawoniebieskim rowerku z żółtymi jak banany obręczami i grubymi oponami. Był to jej ulubiony prezent, lepszy niż kula Magic 8, zestaw KISS Colorforms, a nawet konsola ColecoVision.

Wypatrzyła go na witrynie Pro Wheelz, w centrum, trzy tygodnie przed urodzinami, kiedy wyszła z tatą, i na widok roweru westchnęła z zachwytu. Ojciec, rozbawiony, wszedł do sklepu i poprosił sprzedawcę, żeby pozwolił jej pojeździć po salonie wystawowym. Sprzedawca usilnie namawiał ją do obejrzenia innych rowerków, bo uważał, że tuff burner jest dla niej za duży, nawet z maksymalnie opuszczonym siodełkiem. Nie mogła zrozumieć, o czym ten facet mówi. Przecież to było jak czary, mogłaby latać na miotle, bez wysiłku rozcinając halloweenowe ciemności trzysta metrów nad ziemią. Ojciec jednak udawał, że się zgadza ze sprzedawcą, i usłyszała, że może dostać coś takiego, kiedy będzie starsza.

Trzy tygodnie później rower stał na podjeździe z wielką srebrną kokardą na kierownicy. „Jesteś już starsza, prawda?” — powiedział ojciec i mrugnął.

Vic wśliznęła się do garażu, gdzie tuff burner opierał się o ścianę, na lewo od motoru ojca, czarnego harleya-davidsona shovelhead rocznik 1979, którym wciąż latem jeździł do pracy. Ojciec był pirotechnikiem, pracował w ekipie drogowców ścinających nawisy, wyrównujących skały za pomocą materiałów

wybuchowych, głównie ANFO, czasami zwykłym TNT. Pewnego razu powiedział córce, że trzeba być sprytnym człowiekiem, żeby czerpać zyski z takich złych skłonności. Kiedy zapytała, o co mu chodzi, odparł, że większość facetów, którzy lubią odpalać bomby, kończy w kawałkach albo za kratkami. W jego wypadku podkładanie bomb przynosiło sześćdziesiąt tysięcy rocznie, a co więcej, gdyby kiedyś udało mu się wysadzić w powietrze samego siebie, miał nadzwyczajnie wysoką polisę na życie. Za sam mały palec dostałby dwadzieścia tysięcy, jeśli go stracił wskutek wybuchu. Na jego motocyklu widniała wymalowana aerografem przesadnie seksowna blondynka w bikini o barwach amerykańskiej flagi, siedząca okrakiem na bombie, na tle płomieni. Vic uważała, że jej ojciec jest pokręcony. Inni tatusiowie budują różne rzeczy. Jej tata wysadzał coś w powietrze i odjeżdżał na harleyu, ćmiąc papierosa, którego używał do zapalenia lontu. Spróbujcie to przebić!

Szkrab miała pozwolenie na jazdę po drózkach Lasu Pittman Street, jak nieoficjalnie nazywano dwanaście hektarów porośniętych sosnami wirginijskimi i brzoźami, leżące tuż za płotem. Mogła jeździć do rzeki Merrimack i krytego mostu, i tam musiała zawrócić.

Za mostem — znanym jako Most Krótsza Droga — też rósł las, ale nie było jej wolno przechodzić na drugą stronę rzeki. Most miał siedemdziesiąt lat, prawie sto metrów długości i zaczynał zapadać się pośrodku. Ściany nachylały się w kierunku, w którym płynęła rzeka, i cała konstrukcja wyglądała tak, jakby miała runąć podczas pierwszej porządnej wichury. Wejście zagradyła druciana siatka, choć dzieciaki zerwały ją w jednym rogu i przychodziły tu się obściskować i palić trawkę. Znak na siatce informował: UWAGA! GROZI ZAWALENIEM. POLICJA HAVERHILL. Było to miejsce w sam raz dla przestępców, włóczęgów i obłąkanych.

Vic już tam była, rzecz jasna (do której kategorii należała? — bez komentarza), nie zwracając uwagi na ostrzeżenia ojca ani na znak. Ośmieliła się prześliznąć pod siatką i przejść dziesięć kroków, bo nigdy nie potrafiła odrzucić wyzwania, nawet gdy rzucała je samej sobie. Zwłaszcza wtedy, gdy rzucała je samej sobie.

Na moście było o pięć stopni chłodniej, a w deskach ziały szczeliny, przez które widać było wodę, marszczoną przez wiatr trzydzieści metrów niżej. Dziury w czarnym krytym papą dachu wpuszczały snopy światła, w których tańczyły drobiny kurzu. W ciemności popiskiwały nietoperze.

Sama myśl o wejściu do tego długiego, cienistego tunelu, biegnącego nie tylko nad rzeką, ale wręcz nad samą śmiercią, zapierała jej dech w piersi. Vic miała osiem lat i wierzyła, że jest szybsza niż wszystko, nawet zarywający się most. Jej wiara nieco osłabła, kiedy naprawdę zaczęła dreptać jak małe dziecko po starych, spękanych, skrzypiących deskach. Postanowiła zrobić nie dziesięć, ale dwadzieścia kroków. Przy pierwszym głośnym trzasku stchórzyła, pierzchła z powrotem i prześliznęła się pod siatką z wrażeniem, że niemal dusi ją własne serce.

Teraz przemknęła na rowerze przez podwórkę za domem i w następnej chwili pędziła z grzechotem w dół wzgórza, po korzeniach i kamieniach przez las. Uciekła od domu prosto w jedną ze swoich opatentowanych wymyślonych opowieści z serii *Nieustraszony*.

Osadziła akcję w *Nieustraszonym 2000*. Jechała z Michaeliem Knightem, unosząc się bez wysiłku pod konarami drzew, gdy letni dzień przechodził w cytrynowy zmierzch. Ich misja polegała na odzyskaniu mikrochipu zawierającego dane o rozmieszczeniu wszystkich amerykańskich wyrzutni pocisków rakietowych. Chip został ukryty w bransoletce matki jako element wysadzanego klejnotami motyla, przemyślnie zamaskowany w postaci brylantu.

Przejęli go najemnicy i zamierzali sprzedać informacje temu, kto da najwięcej: Iranowi, Rosjanom, może Kanadzie. Vic i Michael Knight boczną drogą zbliżali się do kryjówki najemników. Michael chciał, żeby mu obiecała, że nie będzie niepotrzebnie ryzykować, nie będzie głupim dzieciakiem, a ona pokpiwała z niego i przewracała oczami, ale oboje rozumieli, że w pewnym momencie będzie musiała zachować się jak głupie dziecko, narażając życie ich obojga i zmuszając ich do desperackich manewrów, aby uciec czarnym charakterom. Takie były wymogi scenariusza.

Tylko że fabuła nie była satysfakcjonująca. Przede wszystkim Vic wcale nie siedziała w samochodzie. Jechała na rowerze, podskakując na korzeniach, pedałując szybko, na tyle szybko, że komary trzymały się z dala. Poza tym nie mogła się odprężyć i fantazjować jak zwykle. Bez przerwy myślała: Jezu, jaką koszmarnie brzydką osobą jesteś w środku. Nagle opadła ją skręcająca żołądek myśl, że kiedy wróci do domu, ojca w nim już nie zastanie. Pochyliła głowę i pedałowała jeszcze szybciej. Był to jedyny sposób, żeby zostawić tę straszną myśl za sobą.

Pomyślała, że jedzie nie na rowerze, ale na harleyu z tatą. Obejmowała go rękami i miała kask, który jej kupił, czarny, na całą głowę. Czuła się w nim tak, jakby była na wpół ubrana w skafander kosmiczny. Jechali nad jezioro Winnepesaukee po bransoletkę mamy; chcieli zrobić jej niespodziankę. Mama krzyknie z zaskoczenia, gdy zobaczy ją w ręce taty, a on wybuchnie śmiechem i obejmie mamę w talii, pocałuje ją w policzek i już więcej nie będą się na siebie wściekać.

Szkrab mknęła w migoczącym świetle słońca pod zwieszonymi konarami. Była dość blisko trasy 495, żeby słyszeć hałas pojazdów: zgrzytliwy ryk zwalniającej wielkiej ciężarówki, pomruk samochodów osobowych i — tak — nawet dudniący warkot motocykla jadącego na południe.

Kiedy zamknęła oczy, sama znalazła się na autostradzie, jadąc

w dobrym tempie, ciesząc się uczuciem nieważkości, gdy rower pochylał się na zakrętach. Nawet nie zauważyła, że w wyobraźni jedzie na motorze, większa, dość duża, żeby samodzielnie przekręcać manetkę.

Uciszy oboje rodziców. Znajdzie bransoletkę, wróci do domu i rzuci ją na łóżko pomiędzy nimi, po czym wyjdzie bez słowa. Zostawi ich, patrzących na siebie z zakłopotaniem. Ale przede wszystkim wyobrażała sobie motocykl, jazdę na łeb na szyję, gdy resztki dziennego światła umykały z nieba.

Wyjechała z pachnącego żywicą mroku na szeroką drogę gruntową, która biegła do mostu. Miejscowi zwali go Krótsządrogą, jednym słowem.

Gdy zbliżyła się do mostu, zobaczyła, że siatka została zerwana ze słupków i leży na ziemi. Wlot — szeroki ledwie na tyle, by zmieścił się samochód — był oprawiony w płataninę bluszczu kołyszącego się łagodnie w prądach powietrza płynących znad rzeki. Wewnątrz biegł prostokątny tunel, ciągnący się do kwadratu niewiarygodnej jasności, jakby drugi koniec otwierał się na dolinę złotej pszenicy, a może nawet złota.

Vic na chwilę zwolniła. Wpadła w rowerowy trans, ukryta głęboko we własnej głowie, i kiedy raz postanowiła jechać dalej, po siatce i w ciemność, zbytnio nie kwestionowała podjętej decyzji. Gdyby teraz się zatrzymała, byłoby to potwierdzeniem jej tchórzostwa, a na to nie mogła sobie pozwolić. Poza tym wierzyła w prędkość. Jeśli deski zaczną pękać pod kołami, po prostu będzie pedałowala co sił w nogach, uciekając od spróchniałego drewna, zanim ustąpi pod jej ciężarem. Jeśli ktoś tam jest — jakiś bezdomny, który chciałby dostać w swoje ręce małą dziewczynkę — Vic przemknie obok, zanim on zdąży się poruszyć.

Myśl o pękającym starym drewnie albo czyhającym w tunelu włóczędzie zamiast ją zatrzymać, przepełniła jej pierś rozkosznym

przerażeniem, i Vic stanęła na pedałach, żeby jechać jeszcze szybciej. Pomyślała także ze spokojną satysfakcją, że jeśli most runie do rzeki, dziesięć pięter niżej, a ona zostanie zmiażdżona w rumowisku, to będzie wina jej rodziców — bo przecież ich kłótnia wypędziła ją z domu — i dostaną porządną nauczkę. Będą straszliwie za nią tęsknić, będą chorować z rozpaczy i poczucia winy, i właśnie to ich czeka, oboje.

Siatka zachręściła pod kołami. Vic wpadła w jakby podziemną ciemność, która cuchnęła nietoperzami i zgnilizną.

Zaraz za progiem, na ścianie po lewej stronie, zobaczyła słowo wypisane zieloną farbą w sprayu. Nie zwolniła, żeby przeczytać, ale odniosła wrażenie, że napis brzmi: Terry's, co uznała za dziwne, bo zwykle wstępowali na lunch do lokalu właśnie o takiej nazwie, Terry's Primo Subs w Hampton, w New Hampshire, nad morzem. Zatrzymywali się tam, wracając do domu znad Winnepesaukee, w połowie drogi pomiędzy Haverhill i jeziorem.

Wewnątrz krytego mostu dźwięki brzmiały inaczej. Szkrab słyszała rzekę, ale odgłos przypominał nie tyle szum płynącej wody, ile biały szum, zakłócenia w radiu. Nie patrzyła w dół, bała się zobaczyć rzekę przez trafiające się tu i ówdzie szczeliny pomiędzy deskami. Wpatrywała się w wylot.

Przejeżdżała przez migające smugi białego światła. Kiedy przecięła jedną z tych cienkich jak opłatek płacht bieli, poczuła ból w lewym oku, coś w rodzaju stłumionego pulsowania. Miała nieprzyjemne wrażenie, że podłoga ustępuje pod kołami roweru. Teraz prześladowała ją tylko jedna myśl, długa na dwa słowa: „Prawie już, prawie już”, powtarzana w rytm pedałowania.

Kwadrat jasności na drugim końcu mostu szybko się poszerzał, a światło nasilało. W miarę jak się zbliżała, z wylotu płynęło coraz bardziej intensywne, niemal brutalne ciepło. Z niewiadomej przyczyny czuła zapach emulsji do opalania i smażonych krążków cebuli. Nie przyszło jej do głowy, żeby się zastanawiać, dlaczego

także po drugiej stronie mostu nie ma siatki.

Vic McQueen, zwana również Szkrabem, wciągnęła potężny haust powietrza i wypadła z Krótszej Drogi w światło słońca, opony ze stukotem zjechały z drewna na asfaltową nawierzchnię. Syk i ryk białego szumu nagle ucichł, jakby naprawdę do tej pory słuchała zakłóceń i ktoś właśnie wyłączył radio.

Przejechała jeszcze kilka metrów, zanim zobaczyła, gdzie jest. Serce zamarło jej w piersi, potem ręce sięgnęły do dźwigni hamulców. Wyhamowała tak gwałtownie, z taką siłą, że tylne koło zarzuciło, ślizgając się po asfalcie i wzbijając tumany kurzu.

Znajdowała się za parterowym domem, na brukowanej uliczce. Pod ceglanym murem po lewej stronie stał kontener na śmieci z kolekcją towarzyszących mu pojemników. Wylot uliczki zamykał wysoki parkan. Po drugiej stronie biegła droga. Vic słyszała przejeżdżające samochody, usłyszała urywek płynącej z jednego z nich piosenki: *Abra-abrakadabra... wyciągnę rękę i cię złapię...*

Vic od razu się zorientowała, że trafiła w niewłaściwe miejsce. Wiele razy była przy Krótszej Drodze i patrzyła z wysokiego brzegu Merrimacku na drugą stronę dość często, żeby wiedzieć, co tam jest: zalesione wzgórze, zielone, chłodne i ciche. Żadnych dróg, sklepów, uliczek. Odwróciła głowę i o mało nie wrzasnęła.

Most Krótsza Droga wypełniał wylot uliczki za jej plecami. Był wciśnięty pomiędzy parterowy ceglany dom i pięciopiętrowy budynek z bielonego betonu i szkła.

Most nie spinał brzegów rzeki, był wpasowany w przestrzeń, która z ledwością go mieściła. Vic zadrżała gwałtownie na ten widok. Kiedy spojrzała w ciemność, po drugiej stronie ujrzała dalekie szmaragdowe cienie Lasu Pittman Street.

Zsiadła z roweru. Nogi jej się trzęsły ze zdenerwowania. Podeszła do kontenera i oparła o niego raleigha. Stwierdziła, że brakuje jej odwagi, by myśleć o Krótszej Drodze.

Cuchnęło smażonym jedzeniem psującym się na słońcu.

Brakowało jej świeżego powietrza. Minęła siatkowe drzwi, zaglądając do hałaśliwej, pełnej pary kuchni, i podeszła do wysokiego drewnianego płotu. Otworzyła furtkę i znalazła się na dobrze znanym wąskim chodniku. Stała na nim zaledwie parę godzin temu.

Kiedy spojrzała w lewo, zobaczyła długi pas plaży i ocean, zielone grzywacze lśniły w słońcu tak jaskrawo, że patrzenie na nie sprawiało ból. Chłopcy w kąpielówkach rzucali sobie frisbee i robili efektowne podskoki, po czym przewracali się na wydmy. Samochody jechały bulwarem, zderzak w zderzak.

Szkrab na niepewnych nogach przeszła za róg i zajrzała w okno

Fragment książki **NOS4A2**

Autor: **JOE HILL**

Tłumaczenie: Maria Frąc

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego, wyłącznie do użytku prywatnego. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.